

## WIECZNEJ CZUJNOŚCI

Z TERESĄ SAWICKĄ rozmawia BARBARA HENKEL

– *Krakowianka, i tak zadomowiła się we Wrocławiu. Rzadko się zdarza, by aktor rozstawał się bez żalu z Wawelem.*

– Należę do wędrujących, chociaż bez przesady. Nie zmieniałam miejsca zbyt często. Pewnie, że ciągnęło mnie i ciągnie do Krakowa – raz byłam nawet bliska powrotu. Chętnie odwiedzam swoje miasto. Tam ukończyłam szkołę teatralną, mam dom rodzinny.

– *Co wobec tego tak panią trzyma we Wrocławiu? Już kilkanaście lat!*

– Teatr i szkoła teatralna. W obu tych miejscach znalazłam wiele swoich spełnień.

– *Między Krakowem a Wrocławiem była Warszawa. W stolicy, jak wynika z życiorysu, nie zagrzała pani jednak miejsca długo...*

– Wejście miałam nieoczekiwane. Było tak. Jeden z pokazów dyplomowych – „Fantazego”, w którym grałam Dianę, oglądał w krakowskiej szkole Adam Hanuszkiewicz, ówczesny dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie. W repertuarze miał wówczas „Hamleta”. Zaszła konieczność nagłego zastępstwa w roli Królowej-Aktorki. Hanuszkiewicz zwrócił się do mnie z propozycją. Nie miałam czasu nawet pomyśleć, co czynię.

– *Nie lękała się pani?*

– Gdy człowiek jest młody mniej wszystkiego się boi. Nie czuje jeszcze ciężaru odpowiedzialności, zagrożenia ze strony innych. A przecież odbyło się to w iście wariackim tempie. Rano otrzymałam tekst, potem była próba i wieczorem przedstawienie. To wszystko wydawało mi się nieprawdopodobne. Znalazłam się od razu w gronie wielkich aktorów. W obsadzie byli: Zofia Kucówna, Ewa Żukowska, Mariusz Dmochowski, Andrzej Łapicki, Hamleta grał Daniel Olbrychski. Stawałam przed dworem. Miałam piękny kostium zaprojektowany przez Mariana Kołodzieję. Do dziś pamiętam białą suknię z perł. To był dla mnie nie tylko debiut, ale prawdziwy ślub w teatrum. Krążyłam między Krakowem a Warszawą, grałam na zmianę na szkolnej i narodowej scenie. Teatr Narodowy był wówczas w pełnym rozkwicie. Nie odpoczywałam. Moja edukacja na scenie odbywała się we wspólnym towarzystwie.

– *A jednak porzuciła pani ten raj?*

– W życiu aktorki nie zdarzają się często tak wielkie role, jak w „Anny Livii” według Jamesa Joyce’a zaproponowanej mi przez Kazimierza Brauna z Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Pociągnęła mnie więc pokusa gościnnych występów w tej wspaniałej roli. Potem przyszły następne, kuszące propozycje. Zarapowała mnie ciekawa wizja teatru Helmuta Kajzara. Wciągnęła mnie praca w szkole teatralnej, z którą jestem już związana od dwunastu lat. Sama nie wiedziałam, że odchodzę z Warszawy na tak długi czas.

– *To Wrocław tak bardzo przypadł pani do serca?*

– Uważam, że jest to jeden z najbardziej przężnych ośrodków. I dziwię się, gdy tutejsi

twórcy i artyści mają jakiegokolwiek kompleksu wobec Warszawy czy Krakowa. Znam dobrze te wszystkie trzy nieba i nie widzę istotnych różnic. Wszędzie można, jeśli tylko się chce, intensywnie pracować.

– *Właśnie! Z Wrocławia tak samo można podbić świat. Dowodem na to jest „Imigracyjna królowa” (według scenariusza i w reżyserii Kazimierza Brauna) – podwójny triumf: Heleny Modrzejewskiej i Teresy Sawickiej na głównej scenie Dublinu – Project Arts Centre. A więc dościsnęła pani swoją bohaterkę w opanowaniu języka angielskiego.*

– Jestem tasia na takie przygody, które nie zdarzają się przecież na co dzień. Przyznam jednak, że już tam na miejscu, w stolicy Irlandii, w trakcie prób byłam bliska załamania. Narzucono zwariowane tempo. W Londynie na lotnisku czekał na mnie producent. W samolocie do Dublinu wyczytał mi angielski egzemplarz, bite czterdziestu cztery strony maszynopisu.

– *Ile czasu pani dano?*

– Tylko trzy i pół tygodnia, ani dnia więcej. Wstawałam codziennie o szóstej rano. Uczyłam się przy śniadaniu, w autobusie. Nie korzystałam nawet z przerwy na lunch podczas intensywnych prób. Miałam nieznośną świadomość, że mogę zrujnować producenta. Pochłaniały mnie całkowicie artykulacja, intonacja – bolał mnie już od tego koniec języka. Rola Modrzejewskiej była mi tym bliższa, że przekazuję także jej zmagania językowe, najpierw słowa kaleczy, żeby potem dojść do perfekcji. Sama z sobą toczyłam taką walkę i rozumiałam, jakie męki musiała przeżywać wielka aktorka. Łatwiej mi było więc wejść w jej skórę z

okresu amerykańskiego, o którym traktuje sztuka Brauna. Proszę sobie wyobrazić, że były to dwie i pół godziny obcowania z angielszczyzną na scenie w towarzystwie dublińskiej pary aktorskiej. Nawiasem mówiąc, mój partner, Malcolm Douglas, nie był w stanie opanować w tym czasie jednego zdania polskiego „O czym to dumać na paryskim bruku”, które dla dodania smaku miał wypowiedzieć.

– *No, ale recenzje, jakie pani przywiozła po ubiegłorocznej premierze, wynagrodziły wysiłek: Fascynująca, Czarująca. Triumfuje. Niezwykła przyjemność.*



Teresa Sawicka i Malcolm Douglas w „Imigracyjnej królowej”

– *Nie znalazłam ani jednej przygany, tylko superlatywy.*

– Po premierze całą noc nie spałam. O 6 rano matka producenta, w którego domu zatrzymałam się, przyniosła mi pierwszą recenzję w „The Irish Times”. Odetchnęłam. Dla mnie ważne było to, że grałam cały miesiąc, co świadczyło o zainteresowaniu publiczności. Po przekroczeniu tego progu coś się we mnie rozluźniło. Stwierdziłam, że możliwości ludzkiego organizmu są nieograniczone. Można przewyciężyć lęk przed najtrudniejszym nawet zadaniem, przyjął niezwykle wyzwanie. Wróciłam pokrzepiona na duchu – nacytałam się wiele o sobie w tamtejszej prasie – i... z wielką radością, że jestem znów u siebie w domu.

– *A jak w ogóle doszło do tego zaproszenia?*

– Zawdzięczałam je wrocławskiej inscenizacji „Anny Livii”, z którą siedem lat wcześniej byliśmy w Dublinie. Zostawiła dobre wrażenie. Ja wtedy dałam próbkę interpretacji w języku angielskim, ale to był tylko dwuipółstronicowy monolog Molly Bloom. Wtedy zajęło mi to dziesięć dni wkuwania po osiem godzin, ze słuchawkami na uszach, z konsultacjami rodowitego Anglika, profesora fonetyki.

– *Czy sukces Modrzejewskiej, jak wymawiają za granicą nazwisko wielkiej aktorki, wróży następny przygodę w Dublinie?*

– Zaproponowano mi, bym zagrała jedną z głównych ról w sztuce Brendona Kennelly (irlandzkiego Różewicza) „Kobiety trojańskie”. Premiera została jednak na razie odłożona.

– *Czy ma pani jakieś zadry w sercu?*

– Przykry był moment wyjścia z Teatru Współczesnego. Gdy w 1984 roku zdjęto dyrektora Kazimierza Brauna, byłam w Radzie Artystycznej i na znak protestu też odeszłam. Wtedy dyrektor Igor Przegrodzki zaproponował mi pracę w Teatrze Polskim. I do dziś tu jestem. Nie narzekam na brak ról. Ostatnio gram w „Miazdze” Jerzego Andrzejewskiego rolę Panny Młodej.

– *Wiem, że wiele czasu oddaje pani szkole.*

– Mówię zawsze, że narzekam z dużą przyjemnością na nadmiar obowiązków. W szkole teatralnej moim przedmiotem są sceny współczesne na drugim i trzecim roku. Prawdą jest, że studenci to są swego rodzaju wampiry, zachłannie wysysają z nauczycieli wszystko. To ich przywilej. Ale druga strona też korzysta. Każdy rocznik przynosi ze sobą inną wrażliwość, świeżość spojrzenia, odmienne poglądy. To mnie utrzymuje w stanie wiecznej czujności, że nic się jeszcze nie zamknęło, nic do końca nie jest odgadnione, zdefiniowane. Oni czerpią ze mnie, a ja z nich. Wnoszą swoją odmienność w mój świat. Nie pozwalają mi się zasklepić. Dodają mi ducha, gdy jestem zmęczona, zniechęcona. Nie powoduje więc mną tylko poświęcenie dla innych. Ale i egoizm, czy egocentryzm – nie boję się tego słowa.

Odnoszę wrażenie, że znajdujemy wspólny język. Nie traktuję ich jak uczniów. Uważam ich po prostu za młodszych kolegów, którzy mają mniej doświadczenia, i mogę się z nimi podzielić swoją wiedzą praktyczną. Ba, wraz z dwoma studentami założyliśmy Fundację Proscem – Promocyjną Scenę Młodych, aby mogli się wypowiadać we własnym imieniu, urzeczywistnić swoje wizje.

– *W teatrze teraz dużo niepokoju. Niektórzy aktorzy drżą o swój los przywykli do znanego schematu.*

– To nie jest zawód, w którym można tylko odcinać kupony. Opowiadam się za zdrową, uczciwą zasadą konkurencyjności. Jesteś tyle wart, ile jest warta twoja ostatnia praca.

– *I jest pani gotowa stawać do konkursu? Nie uchybiłoby to pani?*

– To by oczyściło atmosferę. Nie rozumiem tych, którzy siedzą i narzekają, gdy tyle jest do zrobienia. Można coś zainicjować, wymyślić własny program. Zrobić ruch i przenieść się do innego miasta. Lub do innego teatru w tym samym mieście, jeśli taki zaistnieje.

– *No, ale pani jest przebojowa.*

– Wbrew pozorom jestem dość nieśmiała, choć uważają mnie za osobę pewną siebie. Tylko nie uznaję bezruchu.

– *A własną drogę filmową, jak pani ocenia?*

– Człowiekowi zawsze się wydaje, że można było zrobić więcej niż się zrobiło. Paru szans zapewne nie miałam. Bo nie zetknęłam się z takimi reżyserami jak Andrzej Wajda czy Krzysztof Zanussi, którzy wynoszą aktora. Paru szans nie wykorzystałam. Gdy byłam w Londynie, znajoma powiedziała mi o przyjęciu z udziałem Romana Polańskiego, który ponoć chciał mnie poznać w celu ewentualnego nawiązania współpracy. Potraktowałam to jako żart. Nie uwierzyłam, nie poszłam. A potem się okazało, że to była prawda. W filmie zgrałam nawet sporo, ale nie trafiłam do tychczas na taką rolę, która pchnęłaby mnie do przodu. Nie doszło do tego idealnego trójkąta, który współtworzą ciekawy scenariusz, reżyseria i kreacja aktorska. Ale pocieszam się, że wszystko jeszcze przede mną.